

# MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA  
WITA W NOWYM ROKU SZKOLNYM!

**TERAZ TO BĘDZIE TWOJA**  
CODZIENNOŚĆ

**WZÓR NA POCIESZENIE**  
 $\Delta = b^2 - 4ac$

# WSTĘPNIAK

Łukasz Ożóg

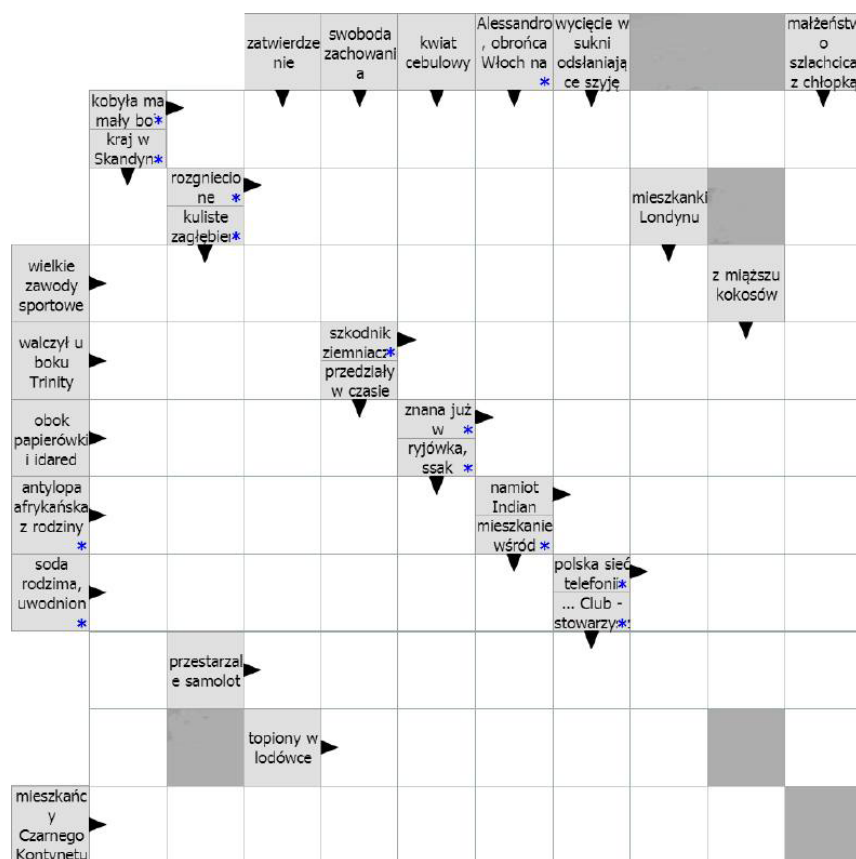
**T**o znowu my, wraz z wrześniowym wydaniem „Marginesu”. Niektórzy stworzyli właśnie pierwszy numer tej gazety w życiu. Gratuluję, dobry wybór. Zaprawdę powiadam Wam, że w ZSŁ nie ma lepszej. Skoro wiecie już, że „Margines” jest elitarny - odsyłam parę stron dalej, gdzie napisałem trochę o gazecie i redakcji, natomiast z plakatu dowiedziecie się o tym, jak stać się jednym/jedną (czyżby jakieś nowe samice – humanistki w szkole?) z nas. Jak już się otrząśnięcie ze wspaniałości gazety, którą trzymacie w rękach, możecie zacząć czytać dalej. Spis treści standardowo po prawej, tekst czytamy od lewej do prawej, gazety nie wrzucamy do kosza ani po lewej ani po prawej. To tyle z zasad.

Wrzesień to specyficzny miesiąc. Podobno do czerwca – też panuje ogólne i wszechobecne rozluźnienie obyczajów, ale zamiast poszerzać się, jest skutecznie ukracane przez napływ obowiązków. Jednak wstępniak to nie miejsce na takie dywagacje, powiem tyle, że miło będzie naszej Redakcji, jeśli w przerwie między Panem Tadeuszem a lutowaniem i obiadem (na raz, a co) znajdziecie chwilę, aby poczytać „Margines”. W czerwcu, z tego co pamiętam, chwaliłem Redaktorów za świetny dobór tematów – zero kłótni, wchodzenia sobie w drogę, w efekcie kilka naprawdę wartościowych tekstów. Teraz jest już tylko lepiej. A nie powiem, miałem spore obawy w związku z tym, że to wrzesień, nie chce mi się, a także pojawieniem się nowych twarzy w redakcji. Nie do końca byłem pewien, jak ułoży się współpraca na początku roku, gdzie dodatkowo trzeba gonić terminy, ale jest w porządku, nawet bardzo. Zobaczmy w następnych miesiącach, mam nadzieję, w jeszcze większym składzie.

Na dowód tego, że „Margines” to nie przelewki i bezsensownie zadrukowany papier, polecam udać się na następne strony. Tam czeka na Was sporo ciekawych artykułów, edukujących czy relaksujących. Albo jedno i drugie, bo jak pokazują Damian i Rufus – da się. Jak zawsze nie zapomnieliśmy o stałym dziale – recenzje. Tutaj mamy pewną nowość, polecane książki. Co prawda w historii „Marginesu” pojawiało się to sporadycznie, ale teraz chcemy co miesiąc przedstawiać Wam ciekawsze pozycje i nie zaniechać tego czynu. Piszemy także w dalszym ciągu o swoich zajęciach i pasjach, Krzysiek kontynuuje dawno już zainicjowany temat pszczelarstwa, Aneta zajmuje się fotografią. Tym razem wzięła się za znaną Wam pewnie aplikację Instagram, poruszyła ciekawą kwestię sensu istnienia tego tworu. „Margines” często przez redaktorów traktowany jest jak konfesjonał, dlatego co miesiąc pojawiają się czyjeś rozważania nad życiem i jego głębokim sensem. Nie zawsze są one jednak kompletnie pozbawione sensu, dlatego warto do nich zajrzeć. Miłej lektury.

## Co w numerze?

|                                                 |       |
|-------------------------------------------------|-------|
| Motywacja na początek                           | s. 3  |
| ZSŁ News                                        | s. 3  |
| Skuteczna nauka języków obcych                  | s. 4  |
| Gdy pszczoła ucieka                             | s. 5  |
| Memrise                                         | s. 5  |
| Instagram – rozwój fotografii, czy jej koniec   | s. 6  |
| Znowu...                                        | s. 6  |
| Stres                                           | s. 7  |
| Kiedy wygraną jest życie...                     | s. 7  |
| Nikita                                          | s. 8  |
| Żebyś sobie tą wieżą oka nie wybił              | s. 8  |
| Prawdziwy superbohater: Tony Stark czy Iron Man | s. 9  |
| Expresso Kronki nośnika CD                      | s. 10 |
| The walking dead                                | s. 10 |



**Gazeta Szkolna ZSŁ**  
Nakład własny

### Redakcja w składzie:

Paweł Górszczak  
Łukasz Ożóg  
Damian Hanusiak  
Artur Kawala  
Anna Karez  
Maciek Pietrzyk  
Tomek Nowinski  
Mateusz Bogusz  
Bartosz Jędrzecki  
Renata Makuch  
Aneta Sacha



### Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz  
e-mail: [margines@tl.krakow.pl](mailto:margines@tl.krakow.pl)  
www: [margines.tl.krakow.pl](http://margines.tl.krakow.pl)

**MARGINES**  
Gazeta Szkolna

# Motywacja na początek

Łukasz Ożóg

BO BEZ NIEJ CIĘŻKO COKOLWIEK ZACZAĆ

**P**o pierwsze: „Cześć!”, głównie skierowane do nowych uczniów w ZSŁ. Jak w zasadzie ten artykuł. To właśnie Wy, przez niektórych jakże pieszczotliwie nazywani kotami, widzicie najlepszą gazetę Technikum łączności po raz pierwszy w życiu. Zazdroszczę Wam, bo szczerze przyznam, że dwa lata temu nie zwróciłem na to zupełnie uwagi, a teraz przydałoby się wiedzieć, jakie to uczucie. Ale dość już narcyzmu i samozachwalania. Albo nie, w końcu trzeba Wam jakoś „Margines” przybliżyć. A bez tekstu z nawtykanymi pozytywnymi skojarzeniami i faktami nie da się tego zrobić.

Część z Was, idąc do technikum, jeszcze na jakiegoś informatyka czy elektronika, nie myślała pewnie, że uczeń łączności może rozwijać się w jakikolwiek inny sposób niż na fotelu przed komputerem. Niespodzianka, jest wrzesień i dostajecie w ręce „Margines” w całej okazałości. „Kto pisze te artykuły?”, „Komu się chce?”, „Po co to, love matematyka 4eva!”. Już słyszę te pytania w swojej głowie. Chce się, oczywiście, że się chce. Pewnie teraz wydaje się Wam, że lubicie komputery i w ogóle to są super. No i uwielbiacie w nich grzebać, jak ze szkoły przyjdziecie. Albo pograć, czy coś. Pewnie, też tak miałem. Aż nie spełniło się moje gimnazjalne marzenie – pójść do szkoły, w której będę miał okazję się tym zająć. I zająłem się, przez pewien czas „już nie mogło być lepiej”. A potem stwierdziłem, że w domu mi się już tak nie chce. Nie, że nie lubię, tylko, że mi się nie chce. Robię w tym swoją robotę i tyle. „Teraz jest potrzebne coś innego, co fajnie będzie robić”. Akurat był moment, kiedy z Pawłem próbowaliśmy sił w składaniu „Marginesu”. Jak wyglądał „Margines” dwa lata temu, można zobaczyć na naszej stronie internetowej. Nie było źle, ale stwierdziliśmy, że mogłoby być lepiej. W końcu zrobiliśmy dwa składy, wygrał ten Pawła, zasłużenie. Oczywiście wygląd się zmienił od tamtego czasu znacznie. Paweł został stałym składaczem, a ja poszedłem na następne zebranie w zasadzie nie wiedząc, co będę tu robił dalej. No i tak w końcu ktoś zapytał: „A Ty co? Piszysz coś?”. No i napisałem. Raz, drugi, trzeci. Nie bolało. Na początku trochę się szczypałem w myślach, że przecież „ja miałem skłaaaadaaaa”, „kurczę, co ja będę pisał, skąd jakiś pomysł wziąć...”. Ale pisanie okazało się całkiem niegłupim i relaksującym zajęciem, a tematy się zawsze znajdują, bo zawsze mam na co narzekać. Jakbyście zobaczyli parę numerów wstecz, to możecie się mnie przestraszyć. Ale staram się być miły, dlatego jako bezczelny naczelny chcę Was zachęcić do uczestnictwa w tworzeniu „Marginesu”. Zawsze jest co robić, zawsze jest o czym pisać. Nie bójcie się i dajcie sobie szansę na spróbowanie czegoś nowego. Nieważne jest doświadczenie, to jak piszesz, czy robisz dużo błędów, czy jesteś inny niż wszyscy. Ważne, że masz chęci, a niestandardowe myślenie jest bardzo poszukiwane. Do zobaczenia na zebraniu Redakcji :).

**Chesz do nas dołączyć? Zapraszamy, zgłoś się w gabinecie polonistycznym bądź skontaktuj się z profesorem Boguszem, albo napisz na nasz redakcyjny adres e-mail: [margines@tl.krakow.pl](mailto:margines@tl.krakow.pl)**  
**Czekamy na Ciebie !**

## ZSŁ News

Renata Makuch

CZYLI CO W SZKOLNEJ TRAWIE PISZCZY.

**D**rugiego września, ku radości wszystkich uczniów, po dwumiesięcznej przerwie, powracamy do Zespołu Szkół Łączności na całe dzieś miesiąc. Ale spokojnie, bez obaw, następne wakacje już tylko za troszkę ponad 200 dni... Małym pocieszeniem są długie weekendy, których w tym roku całkiem sporo. Na boisku szkolnym zebrało się ponad 1000 uczniów (co daje nam 43 oddziały klasowe) wraz z nauczycielami, aby powitać



„fot. Natalia Supernak”

nowy rok szkolny.

Jak już wiecie, lekkoj modyfikacji uległ Wewnętrzny System Oceniania. Piękną i jakże ważną ocenę dopuszczającą (o którą w pocie czoła walczą uczniowie) dostaniemy dopiero od średniej 2,0. Już nie jest tak różowo jak wcześniej – 1,75 i święty spokój. Dzięki zmianom prościej będzie uzyskać lepszą ocenę na koniec roku, progi punktowe są nieco łaskawsze, na przykład już od 65% otrzymamy ocenę dobrą.

We wrześniu zostały oddane do użytku trzy pracownie na terenie policealnej szkoły dla dorosłych O'Chikara (dla mniej wtajemniczonych to te dwie sale za internatem). Są tam dwie sale językowe oraz sala komputerowa. Szczercze mówiąc, są one całkiem fajne, miałam tam już lekcje, a najlepsze, co nas tam spotka, to mega wygodne kanapy, na których dzielnie oczekujemy na lekcje.

Cojeszcze przed nami? W piątek, 20 września, odbyło się coroczne sprzątanie świata w pobliżu rzeki Wilgi i wokół terenu szkoły oraz zbiórka surowców wtórnych. Natomiast 14. października odbędzie się ślubowanie klas pierwszych, standardowo w Kinie Kijów. Co do klas pierwszych, to dzięki nim próg punktowy na dostania się do łączności znacznie wzrósł i to na wszystkich kierunkach.

Od początku roku już wiadomo o olimpiadach i konkursach przedmiotowych. W najbliższym czasie (przynajmniej o tych „imprezach” mi wiadomo) czeka nas Olimpiada Wiedzy Informatycznej, Konkurs Teologiczny oraz konkurs o tytuł Mistrza Ortografii ZSŁ.

To chyba wszystko we wrześniowym wydaniu ZSŁ News, polecamy się na przyszłość.

## Sprzątanie



## świata

# Skuteczna nauka języków obcych

## serfer

UCZYMY SIĘ JĘZYKA ANGIELSKIEGO OD PRZEDSZKOLA, MIMO TEGO WIĘKSZOŚĆ Z NAS NIE POTRAFI POROZUMIEĆ SIĘ PŁYNNIE W TYM JĘZYKU. W CZYM TKWI PROBLEM?

**Problem tkwi w tym, w jaki sposób uczymy się tego języka.**

W naszym systemie edukacji jest wiele błędów, przede wszystkim uczy on nas jak, zdawać egzaminy, a nie jak porozumiewać się w danym języku. Co zatem trzeba zrobić? Nic bardziej oczywistego. „Jeżeli nie udaje się to, co robisz, rób coś innego.” Zanim jednak pokażę błędy, jakie robimy i to, w jaki sposób skuteczniej nauczyć się nowego języka, zacznę od początku...

Spędzając minione wakacje, miałem dużą styczność z językiem angielskim. Był on na każdym kroku i różne sytuacje wymagały ode mnie znajomości tego języka. Coś, co zaobserwowałem, to duże ograniczenie związane z niedouczeniem, a że nie lubię się ograniczać, było to dla mnie „zapalnikiem”, który zmotywował mnie, aby samemu w tym kierunku coś zrobić.

Zaraz po przyjeździe do Polski przeszukałem prawdopodobnie największą bazę danych z wiedzą, jaką jest Google, w kierunku tego, jak skutecznie nauczyć się języka. Jak widać, czasem wystarczy chcieć, by poczynić pewne kroki ku realizacji celu. Aby jednak ta chęć do nas skądś przyszła, potrzebna jest motywacja - jakieś zdarzenie, które da nam cel - tak jak było w moim przypadku. Może dla was to będzie właśnie ten tekst, kto wie.

Sama motywacja jednak nie wystarczy, potrzebujemy potwierdzenia tego, że to, co robimy jest skuteczne i daje efekty. To obdarza nas wiarą w to, że nam się uda. Dlaczego o tym wszystkim piszę? Ponieważ to w nas tkwią największe przeszkody, w naszej głowie, to my jesteśmy przyczyną własnych niepowodzeń. Naukę języka powinniśmy zacząć od zmiany własnych przekonań oraz od pokonywania lęków - wszystkiego tego, czego „nauczyliśmy” się m.in. w szkole. Bez tego psychologicznego fundamentu nie będziemy w stanie skutecznie nauczyć się jakiegokolwiek języka. Lęk, wątpliwości i błędne przekonania zatrzymują nas przed robieniem podstępów i szybko się poddamy. Ten tekst nie ma być poradnikiem, ma on wam jedynie dać taką motywację, która pozwoli poczynić ku swojemu celowi pewne kroki i pomoże wam spojrzeć na ten temat z zupełnie innej perspektywy.

Tak jak względem wielu umiejętności można wyodrębnić pewne wzorce, tak i dla nauki języków można przyjąć pewien schemat postępowania, który sprawi, że osiągniemy sukces. Jak dobrze wiemy, jeżeli chcemy być w czymś najlepsi, patrzymy na najlepszych i jeżeli im się udało, to robiąc dokładnie to,

co oni - osiągniemy sukces. W psychologii określa się to mianem mentoringu.

Pierwszy człowiek, na którego wpadłem podczas swoich poszukiwań, to Mateusz Grzesiak - trener rozwoju osobistego, psycholog, coach i twórca systemu „fastlan-guages”. Nie będę się zagłębiał dokładnie w to, o co chodzi w tym systemie, pokażę jedynie samo jego założenie. Mateusz Grzesiak wyodrębnił właśnie taki schemat, o którym pisałem wyżej. Doszedł do wniosku, że potrzeba nam relatywnie mało czasu, aby przyswoić pewną medianę, fundament języka, który pozwoli nam na komunikatywne porozumiewanie się i rozumienie drugiej osoby w pożądanym przez nas języku. Można wyciągnąć pewną średnią z tego, czego najczęściej używamy w danym języku. Tak na przykład, poznając 1000 najczęściej używanych słów, zrozumiemy większość pisanych tekstów czy mowy codziennej. Poznanie tej bazy daje nam dużą motywację do dalszej pracy, ponieważ widzimy naoczne efekty naszego działania - rozumiemy. Jak się ich skutecznie nauczyć, i co nam w tym pomoże - o tym dalej.

Przede wszystkim musimy sobie odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy chcemy umieć porozumiewać się w danym języku? To jest oczywiste, że mało komu potrzebna jest gramatyka i wiedza tak naprawdę akademicka, której się uczymy w szkole. Poza tym nikt nie zaczyna nauki matematyki od całek, tak samo my nie powinniśmy zaczynać nauki języka od gramatyki. O tym m.in. mówi nam kolejny - moim zdaniem wybitny - człowiek, na którego trafiłem - A.G. Hoge twórca metody nauki języka angielskiego nazywającej się: „Effortless English”. Mówi on w niej, że powinniśmy się uczyć od dzieci. Każde dziecko od dnia swoich narodzin SŁUCHA i uczy się w ten sposób języka. Nikt nie obciąża dzieci gramatyką, która przyprawia nas o cierpienie, kiedy tylko na nią kolejny raz spojrzymy. Nie robią zadań domowych i nie uczą się pojedynczych słówek, a mimo to uczą się języka efektywnie! Czy ty rozmawiając z kimkolwiek, zastanawiasz się, w jakim przypadku mówisz, czy zdanie ma być nadrzędnie czy podrzędnie złożone? Oczywiście, że NIE! Wychodzi na to, że o angielskiej gramatyce wiemy więcej niż sami Anglicy. Nie tędy droga.

Idąc za myślą i za tym, jak uczą się dzieci, naukę każdego języka powinniśmy zacząć od SŁUCHANIA, zmasowanego słuchania, po to, by oswoić się z językiem, złapać akcent, itd., nie przejmując się wcale tym, że na początku nie za wiele rozumiemy. Powinniśmy zacząć

słuchać na początku czegoś, co zawiera w sobie prosty język, nie możemy zacząć nauki od słuchania, np. amerykańskiej telewizji, w której pełno idiomów, slangu i uproszczeń, bo się szybko zniechęcimy. Zaczniemy od słuchania podcastów, których pełno w Internecie, przykładowo „The English We Speak” od BBC lub Elementary Podcasts na stronie <http://learnenglish.britishcouncil.org>. Mogą to być również audiobooki, seriale itp., stopniując cały czas poziom trudności. Najważniejsze jest to, żeby te materiały były prawdziwymi materiałami w danym języku (w których mówią ludzie w swoim rodzimym języku). Dobrze by było również, by tematyka nas ciekawiła, to da nam dodatkową motywację. Bardzo pomocna na tym etapie jest wcześniejsza znajomość 1000 najczęściej używanych słów, których możemy się nauczyć przy pomocy mnemotechnik (o których już pisałem we wcześniejszych numerach), i/lub ucząc się fraz zawierających dane nowe słowo. Ważna w tym procesie jest systematyczność i powtarzanie. Potrzebny nam nawyk codziennego słuchania materiałów w danym języku, ten etap ciągły i nieprzerwany. Z językiem polskim stykamy się na co dzień i cały czas uczymy się czegoś nowego. Musimy pamiętać, że nauka języka to proces stały, nie można się go nauczyć w całości i tym samym zakończyć naukę.

Dziecko po długim okresie słuchania zaczyna „stawiać pierwsze kroki” w mowie. Mówi nieskładnie, na początku duka pojedyncze słowa, w ogóle oczywiście nie przejmując się, czy to robi dobrze, czy nie. Jeżeli chcemy nauczyć się mówić w jakimś języku, nie możemy bać się w nim mówić i przejmować tym, czy mówimy poprawnie gramatycznie. Ważne jest to, żeby być zrozumianym. Już sama znajomość słowa „milk” wystarczy nam do tego, aby kupić mleko w angielskim sklepie. Musimy wyzbyć się lęku. Tak jak „Nie od razu Rzym zbudowano”, tak samo nie od razu będziesz mówił płynnie i składnie. Ważne jest to, by myśleć w danym języku, a nie na bieżąco tłumaczyć zdania i zastanawiać się, jakiego czasu mamy użyć. Bo o ile pisząc wypracowanie czy wiadomość, mamy na to czas, to w normalnej rozmowie musimy reagować natychmiast.

Dopiero po tych etapach możemy przystąpić do czytania (co szkoła robi na samym początku) - oczywiście regulując stopień trudności tekstów. Następnie możemy zacząć pisać w danym języku. Coś, co możemy zauważyć na tym etapie, to to, że gramatykę mamy praktycznie „za darmo”.

# Gdy pszczoły uciekają...

Krzysztof Franiek

WIĘKSZOŚCI PSZCZOŁY KOJARZĄ SIĘ Z ULEM. CZY TO ABY NA PEWNO NATURALNE POŁĄCZENIE I CZY PSZCZOŁY JE AKCEPTUJĄ?

**O**wady zajmujące się zbieraniem pyłku i nektaru z kwiatów zamieszkiwały już Ziemię w czasach dinozaurów. A gdzie był wtedy człowiek? Nie było go wcale, a nawet gdy wyewoluował, nie był zainteresowany pszczelarstwem. Pszczelarstwo podobne do współczesnego ma początek dopiero w dziewiętnastym wieku – wtedy skonstruowano pierwsze ruchome ramka. Dziś pszczoły nieodrodnice kojarzą się z ulem, zaś dziko żyjące roje poza terenami rozległych lasów to rzadkość. Jak pszczoły dbają o to, by przetrwać?

Zacznijmy od pojęcia rodziny pszczelej, nazywanej także rojem pszczelim. W skład takiej rodziny wchodzi jedna matka, zwana także powszechnie królową – przedstawicielka płci pięknej. Następnie dziesiątki tysięcy robotnic, zajmujących się wszystkimi pracami – to także panie. Trzecią częścią rodziny, występującą w okresie od wiosny do późnego lata są trutnie – osobniki płci męskiej, pozbawione żądeł, niewykonyjące jakichkolwiek prac w ulu. Ich jedynym celem w życiu jest zapłodnienie młodej matki, co zresztą kończy się dla nich śmiercią. To tyle teorii i przypomnienia, przejdźmy do tego, jak pszczoły dbają o to, by nie wyginąć.

Gdy pszczela rodzina ładnie się rozrosła, wkoło jest dużo jedzenia, a do zimy daleko, pszczoły postanawiają podzielić swoją rodzinę i zagospodarować nowe tereny. Takie myślenie zapewniło im przetrwanie przez miliony lat. Podobnie jest z ludźmi: gdyby wszyscy żyli w jednym miejscu, to nie mieliby co jeść.

Gdy już zostało postanowione podzielenie rodziny, pszczoły wybierają młode i dorodne larwy, które będą karmione przez całe swoje życie mleczkiem pszczelim, czyli taką pszczelą ambrosją. Z nich wyrosną młode matki. Stara matka w pewnym momencie przestaje składać larwy, a także chudnie, po to, by móc latać. Gdy zbliża się czas narodzin pierwszej z młodych matek, stara matka wraz ze sporą ilością głównie starych pszczoł opuszcza ul. Najpierw rójka – bo tak nazywa się opuszczającą ul rodzinę – osiada na pobliskim drzewie, gdzie jest miejsce zbiórki. Można wtedy zaobserwować kulę pszczoł, zwisającą z gałęzi, trzymających się jedna drugiej. Kiedy wszystko jest już gotowe, rójka wzbija się w powietrze i leci do wcześniej upatrzonego przez pszczoły – zwiadowczyń miejsca, nadającego się do mieszkania. Lecący rój wygląda niczym czarna chmura, którą łatwiej usłyszeć niż zobaczyć – kilkanaście do kilkudziesięciu tysięcy par skrzydełek robi trochę hałasu. Oczywiście pszczoły biorą ze sobą zapasy. Każda robotnica przed wylotem bierze ze sobą tyle miodu, ile tylko zdoła udźwignąć. Dla przykładu rójka składająca się z pięciu kilogramów pszczoł, może zabrać ze sobą nawet dwa kilogramy miodu!

A co z pszczołami, które zostały w starym ulu? Po paru dniach wyjdzie kolejna rójka, tym razem z młodszą matką i z mniejszą ilością pszczoł. Może wyjść i trzecia, i czwarta rójka – zależy to od ilości pszczoł, które zostały w starej rodzinie, a których zadaniem będzie mozolne odbudowanie dawnej potęgi. I tak w kółko przez miliony lat.

Dla pszczelarzy zjawisko, które opisałem jest dużym utrudnieniem, na które nie ma rady. Jedna, mocna rodzina jest w stanie dostarczyć bardzo dużych ilości miodu, zaś dwie czy trzy słabe rodziny nie zapewniają dochodów.

Co może zrobić pszczelarz, gdy pszczoły chcą uciekać? Jak temu zapobiec? Czy da się to przewidzieć? O tym przeczytacie w następnym numerze.

# Memrise

Rufus

APLIKACJA, Z KTÓRĄ ZAPAMIĘTYWANIE TO BUŁKA Z MASŁEM

**C**zęsto słyszymy o ludziach z ponadprzeciętną szybkością zapamiętywania, ogromną wiedzą na różne tematy. Bycie poliglota? To nie dla nas, nie mamy talentu językowego. Ale czy naprawdę istnieje coś takiego jak talent do zapamiętywania? Niekoniecznie!

Zapamiętywanie nie musi być przykrym przymusem. Memrise to aplikacja, której głównym celem jest zmiana podejścia do nauki - wykorzystuje sposób, w jaki działa nasz mózg. Na początku musimy wybrać, czego chcemy się uczyć; wybór jest ogromny – dziesiątki tysięcy kursów. Możemy nauczyć się ponad 200 różnych języków, oprócz kursów językowych możemy nauczyć się tu właściwie wszystkiego – od pozytywnego myślenia, przez nazwiska aktorów grających Jamesa Bonda, skończywszy na terminologii karate. Każdy znajdzie tu coś dla siebie.

Uczenie się ułatwiają także często zabawne, kreatywne memy. Memy to inaczej fiszki, które stworzyć może każdy - polegają one na skojarzeniach, wymowie lub wyobraźni.

Nauka i powtórki są ukazane jako rośliny. Na początku musimy zasadzić nasionko, później je podlewać, aby wyrosło na dużą roślinę. Ukazuje to sposób, w jaki pracuje nasz mózg podczas zapamiętywania. Aby zachować np. słówko w pamięci długotrwałej, musimy je regularnie powtarzać. Aplikacja sama dobiera system powtórek w zależności od tego, jak idzie nam powtarzanie danego wyrazu.

Za każde działanie na Memrisie nagradzani jesteśmy punktami. Widzimy też liczbę „zasadzonych” roślinek.

Dodatkowym składnikiem jest społeczność. Istnieje forum, różne dyskusje, możemy „followować” inne osoby, porównywać się z nimi w rankingach. Konkurencja to dodatkowa motywacja do nauki :) Zdobywając punkty, otrzymujemy kolejne rangi, co też bardzo motywuje.

Istnieje mobilna wersja aplikacji. Dzięki niej możemy uczyć się w każdej chwili: w komunikacji miejskiej, kolejce, gdzie tylko chcemy.

Kolejna kwestia – koszt. Tym nie trzeba się martwić. Memrise to w 100% darmowa aplikacja.

Podsumowując: Memrise to jedna z lepszych, jeśli nie najlepsza aplikacja do nauki. Możemy nauczyć się 50, 100 lub nawet 200 i więcej nowych rzeczy dziennie. Motto Memrise brzmi „Ucz się czegoś nowego każdego dnia”, więc nie ma na co czekać!



memrise

# Instagram – rozwój fotografii czy jej koniec?

Aneta Sacha

JAK ZWYKLE – ZDJĘCIA, FOTKI I FOTECZKI.

**W**czasie kiedy dąży się do uzyskania jak najbardziej profesjonalnego zdjęcia, tworzy się miejsce, gdzie liczy się przede wszystkim pomysł, a nie jakość. Mowa tu o aplikacji „Instagram”, którą

na swoich telefonach do maja br. miało już ponad milion Polaków.

O co chodzi?

Jesteś na imprezie u znajomego, kupiłeś nowe buty, chcesz się pochwalić piątką z matmy, zrobiłeś właśnie obiad? Nieważne. Robisz coś i chcesz się tym podzielić. Wyciągasz telefon, robisz zdjęcie, dodajesz filtr, parę hashtagów, które opisują zrobione zdjęcie i dzielisz się tym zarówno ze znajomymi jak i z całym światem. Super, prawda? Nieważne czy zdjęcie zrobiłeś najnowszym iPhone'm, pralką czy najstarszą Nokią. Liczy się, co jest na zdjęciu, a nie jakie ono jest.

Na czym polega fenomen?

Aplikację na swoich smartfonach mają już dosłownie wszyscy – ludzie znani, przyjaciele i rodzina. Co tak licznie przyciąga nowych użytkowników? Oprócz zdjęć ściętych w kwadrat, które przypominają klimatyczne odbitki z aparatów analogowych, przede wszystkim prostota i łatwość użycia. Niektórzy traktują aplikację jako typ pamiętnika – uwieczniają ważne momenty i wydarzenia w swoim życiu. Dla innych jest to źródło inspiracji, motywacji czy narzędzie do śledzenia ludzi popularnych jak i swoich znajomych. Użytkownicy mogą przy pomocy kilku kliknięć pokazać swoje życie, ciekawiać i inspirować innych.

Instagram niszczy prawdziwą fotografię?

Coraz częściej wśród fotografów spotykana jest opinia, że tego typu aplikacje mijają się z prawdziwą ideą tworzenia zdjęć analogowych. Niszczą, mieszają pojęcie „fotografia” z błotem. Lomo w wersji mobilnej opanowało dziedzinę fotografii do tego stopnia, że magazyn „New York Times” opublikował fotoreportaż dotyczący Afganistanu w całości wykonany aparatem z iPhone'a, co wywołało niemałą kontrowersję wśród ceniących sobie sprzęt profesjonalnych fotografów. Żeby tego było mało, zdjęcia niecechujące się wysoką jakością zaczęły zajmować czołowe miejsca w międzynarodowych konkursach. Szok i niedowierzanie profesjonalistów jeszcze większe. Kate Bevan z magazynu „The Guardian” w swoim felietonie na temat Instagrama twierdzi, że tego typu aplikacje dają człowiekowi złudne poczucie kreatywności, ale tak na prawdę fałszują historię fotografii i niepowtarzalność zdjęć analogowych.

Dzielić się czy nie?

Zrobiło się poważnie. Początkowo z uśmiechem na ustach czytałam słowa Kate Bevan kierowane do ludzi, którzy po prostu starają się w prosty sposób uwiecznić swoje życie, bawiąc się jedną z wielu aplikacji do zdjęć. Zamazywanie krawędzi między fotografią analogową a fotografią cyfrową? Zdjęciami z telefonu? Głupoty. Przecież sama śledzę posty fotografów, którzy na Instagrama wrzucają zapowiedzi swoich profesjonalnych sesji i wcale nie czują się z tym nieswojo. Po kilku minutach wyciągnęłam wnioski: wszystko ma swoje granice. Wiadomo, że zdjęcia zrobionego i obrobionego w telefonie nie można nazwać dziełem. A autora tegoż pliku artystą. Dobrego fotografa poznamy przecież po zdjęciu przemyślanym a nie przypadkowym. Tylko czemu od razu wpierać ludziom, że przez publikowanie zdjęcia swojego obiadu niszczy historię fotografii?

## Znowu...

bogi

... NIE MAM PIENIĘDZY, BO SPRZEDAWCA W SKLEPIE POWIEDZIAŁ, ŻE DO TYCH BUTÓW PASUJĄ TYLKO NAJDROŻSZE DZINSY...”

**J**est dość ładna pogoda, lecz niewystarczająco by pojechać na rowerze. Odruchowo bierzesz portfel, dokumenty i wychodzisz z domu. Jeszcze sam dokładnie nie wiesz gdzie. Powoli zaczynasz stwierdzać, że skoro już wyszedłeś na zewnątrz, mógłbyś pochodzić po galerii. Może zobaczysz kogoś znajomego, z kim dawno się nie spotkałeś? Popatrzysz przez szybę co nowego w sklepach? Jednak nie zawsze jesteś świadomy, że tak naprawdę chcesz sobie coś kupić. Może to być drobnostka. Nic szczególnego, ale zawsze musi być to coś. Chodzisz po galerii, odruchowo spoglądasz to w prawo, to w lewo. W sklepach, gdzie zwykle wystawione były dość drogie buty zauważasz inne oznaczone napisem: „przecena”. W głowie myślisz sobie, że rozsądnie byłoby kupić takie buty. Przecież i tak będziesz musiał je kiedyś kupić,

a nie skorzystanie z takiej „okazji” byłoby grzechem, jednocześnie zapominając o fakcie, że nowe buty kupowałeś miesiąc temu. No trudno. Stało się. Wychodzisz z parą nowych butów. Idąc dalej, zauważasz wielki szyld: „Likwidacja,



wszystko 50% taniej”. Właśnie wtedy przypominasz sobie, że na buty wydałeś ledwo połowę ich ceny i stać cię na coś jeszcze. Bo przecież i tak jest przecena. Wchodzisz do środka, a po chwili pojawia się z kilkoma następnymi torbami wypełnionymi ubraniami. Gdy wracasz do domu, siadasz na chwilę chcąc nacieszyć się swoimi zakupami. Wtedy właśnie dociera do ciebie, że przecież wyszedłeś na zewnątrz tylko po to żeby się przejść, a wydałeś całe swoje trzymiesięczne kieszonkowe. I wtedy stwierdzasz, że większość rzeczy które zakupiłeś wylądowało w szafie, i więcej nikogo nie zobaczysz. Na tym właśnie polega cały problem. Wszyscy z natury jesteśmy podatni na „sztuczki” marketingowe. Jedni bardziej, inni mniej. Zapominamy o tym, że tak naprawdę sami wiemy, co jest nam w życiu potrzebne i żaden sprzedawca nie powinien nam udowadniać, że jest tak, a nie inaczej. Samemu wiesz najlepiej, kiedy potrzebujesz nowej bluzy, a kiedy nowego telefonu. Nie dajmy sobą manipulować prostymi sloganami. Gdy będziesz czegoś potrzebował, to i tak prędkiej czy później to kupisz. Nie musisz robić niczego na siłę. Nikt Cię do tego nie zmusza... oprócz sprzedawców usilnie próbujących wciśnąć Ci resztę towaru po „okazyjnej” cenie. Prawda życiowa numer #1: „Znasz siebie lepiej, niż jakiś sprzedawca z galerii, który sprzedałby własną matkę za grosze”. Dziękuję za uwagę. Dobranoc.

<http://i40.tinypic.com/15ag5j.png>

# Stres

Damian

STRESOGENNY CZYNNIK W NASZYM ŚWIECIE

**S**tres jest stanem ogólnej mobilizacji organizmu. Najczęściej jest on powodowany jakimś bodźcem zewnętrznym. Taki czynnik był zapewne niezbędny, aby pierwotny człowiek mógł lepiej poradzić sobie w otaczającym go świecie. Dodatkowa adrenalina w organizmie uwalniana na skutek wywołanego stresu dodaje siły, co może być pomocne w pokonaniu przeciwnika lub atakującego zwierzęcia.

W dzisiejszym świecie wielu z nas oddałoby majątek, aby pozbyć się takowego uczucia. Szybkość naszego życia i pęd świata wyzwala w nas miliony emocji. Stres wiedzie prym pośród negatywnych cech. Pracując na choćby nie zbyt odpowiedzialnym stanowisku, mamy szefa lub innego nadzorcę, który patrzy nam na ręce kontrolując nas, a to nie jest obojętne dla naszej psychiki. Chodząc do szkoły, jesteśmy niejednokrotnie straszeni wymaganiami oraz tym, co nas czeka. Na przykład nauczyciel mówi: „Czeka nas niezwykle pracowity i ciężki rok. Wiele przed wami, musicie na za tydzień zrobić ...” I tu wymienia milion różnych mniej lub bardziej potrzebnych informacji do przyswojenia. Wtedy w naszym organizmie budzi się jakaś mała iskra, która następnie przeradza się tuż przed napisaniem sprawdzianu w ogromny stres, bo nasza podświadomość zapamiętała podaną informację przez nauczyciela i teraz nieświadomie mobilizuje organizm w prymitywny sposób, zwiększając tętno i napływ tlenu do organizmu. Jest to cecha z przeszłości, która teraz znacznie utrudnia nam życie, gdyż nasz przeciwnik siedzi w psychice i tym, co powiemy lub napiszemy na kartce. Organizm jest zaprogramowany tak, iż stresem dodaje sobie siły, aby zwalczyć przeciwnika fizycznie. Lecz gdy w dzisiejszym świecie trzeba to zrobić umysłowo, nadmierne pobudzenie nie jest wskazane. Powoduje ono otłumianie organizmu, nie pozwala się skupić na tym, co posiadamy w swej pamięci i uniemożliwia odtworzenie tego co pamiętamy, umiemy, gdyż nasz organizm tryska siłą i emocjami rozpalającymi go. A skupienie i koncentracja, która by się w danym momencie przydała, dawno już uleciała. Podobnie jest z treścią, która paraliżuje organizm i język aktora czy też prezentera.

Nadmierny stres odbija się znacznie na naszej psychice i zdrowiu fizycznym. Każdy z nas odczuwał ból żołądka czy też pulsujący ból głowy przed egzaminem, od którego wiele zależy w naszym życiu. Kiedy będziemy dłuższy czas narażeni na nadmierne oddziaływanie stresu, możemy nabawić się: cukrzycy, miażdżycy, nadciśnienia, a nawet choroby niedokrwienia serca. Każdy z nas w innym stopniu jest odporny na czynnik stresowy i inną jego dawkę na co dzień otrzymuje. Musimy pamiętać, aby przyjmować nieco stoickie podejście do życia. Zagwarantuje nam to dużo lepsze samopoczucie i zapewni mniejsze ryzyko zachorowania na różnego typu choroby wyniszczające organizm. Każdy w jakiś sposób może postarać się nie generować czynników stresogennych u innych ludzi - choćby przez swoje rozważne i przemyślane zachowanie. Warto zrobić to dla siebie i innych.



# Kiedy wygraną jest życie...

Monika Sajbura

TYM RAZEM, GRA TOCZY SIĘ O NAJWYŻSZĄ STAWKĘ...

**K**ażdy z nas na pewno słyszał o mistrzu powieści grozy Stephenie Kingu. W końcu tylko on potrafił napisać świetną książkę o normalnej czynności – chodzeniu. Oczywiście, nie jest to zwykły spacer z psem przed blok, lecz „Wielki Marsz”. Książkę wydał pod pseudonimem „Richard Bachman” (dla przypomnienia w latach 80. wywołało to ogromne zamieszanie, gdyż niektórzy krytykowali dzieła Kinga, a chwalili Bachmana i na odwrót). Warto też wspomnieć, że to jedna z najbardziej brutalnych powieści Króla Horrorów, więc nie polecam jej osobom o słabych nerwach. Książka, jak sam tytuł wskazuje, jest o marszu, w którym udział bierze stu mężczyzn. W przypisie od tłumacza wyjaśnione jest, że inspiracją do tej historii były autentyczne wydarzenia z okresu II wojny światowej, podczas której organizowano właśnie Marsze Śmierci. Owi uczestnicy mają iść przez ulice USA, dopóki przy życiu nie zostanie jeden z nich. Na zwycięzcę czeka niesamowita nagroda i chwała. Niby takie proste zadanie, wystarczy iść przed siebie, a jednak twarde reguły marszu są pilnowane przez bezlitosnych żołnierzy, którzy są uzbrojeni. Na przeczytanie tej książki poświęciłam jeden dzień, bo nie sposób oderwać się od naprawdę wciągającej fabuły. Czytałam wiele książek, ale nie spotkałam się jeszcze z taką, po której wstaję z kanapy i bolą mnie nogi. Dzięki magicznemu sposobowi pisania Kinga, gdy się wczytamy, możemy maszerować razem z innymi uczestnikami marszu i poczuć ich zmęczenie na własnej skórze. Ale nie tylko zmęczenie. Scen z tryskającą krwią nie brakuje, a jednak najbardziej przerażające jest to, że pomiędzy bohaterami rodzą się przyjaźnie, które w normalnych warunkach, mogłyby trwać przez długie lata, a tu nie mają sensu, bo jak zawody się skończą, to nie usiądą razem przy herbatce i nie powspominają, jak to miło maszerowało się i patrzyło, jak ludzie wokół giną. Tak samo jest z idącymi braćmi, gdzie z góry wiadomo jest, że wrócić może tylko jeden z nich. W końcu zwycięzca to liczba pojedyncza. King w tej powieści przedstawia nam obraz człowieka, który przekracza własne możliwości, pozbywa się swoich poglądów i wartości, a nawet wyzbywa się moralności, żeby jak najdłużej przeżyć. Książka nie jest w 100% poważna, czy smutna. W niej również pojawia się, pozwolę sobie na określenie, wręcz „prostactki humor” charakterystyczny dla Bachmana. To też jest niesamowite, że odwracając stronę, nie wiemy, czy będziemy płakać, czy śmiać się. Akcja jest dość wartka, ale nie może się obyć bez wątków pobocznych (których moim zdaniem King jest mistrzem). Tym razem nie dowiadujemy się, w jakich czasach żyją uczestnicy. Jest tylko nakreślone, że panuje reżim wojskowy i ludzie łątno „znikają”.

Jeżeli ktoś czytał „Igrzyska śmierci”, może stwierdzić, że fabuła jest nieco podobna. Ostatni uczestnik to zwycięzca, wszystko jest nagłościone w mediach, itd. Nie chcę pisać, która książka jest lepsza, a tym bardziej nie chcę zniechęcić do przeczytania obu z nich, bo przecież „obie są o tym samym” - wręcz przeciwnie! Jednak mogę obiecać, że jeżeli przeczytacie „Wielki Marsz”, to już nigdy o nim nie zapomnicie. Sama książka jest krótka i wprost idealna na chłodne wieczory, kiedy wygodnie siedzimy, czy leżymy w domu...

# Nikita

## Maciek Pietrzyk

PIĘKNE KOBIETY, TAJNE AGENCJĘ I DUŻO AKCJI, CZYLI RECEPTA NA UDANY SERIAL?

**S**erial bazuje na poprzedniej serii telewizyjnej o tym samym tytule. W pierwszych odcinkach poznajemy główną postać: Nikitę, której postać odtworzyła Maggie Q. Bohaterka, jak się okazuje, jest doskonale wytrenowanym zabójcą, szpiegiem oraz uciekinierem z tajnej organizacji zwanej Division. Jest ona pierwszą w historii operacji agentką, której udało się uciec, a teraz jej jedynym celem jest wykorzystanie swoich umiejętności, aby zniszczyć organizację i nie pozwolić, aby rekrutowała ona kolejnych członków.

Temat agencji pozarządowych jest znany i dość często wykorzystywany w filmach, jednak produkcja „Nikity” pozytywnie mnie zaskoczyła, szczególnie w początkowych odcinkach. Jako widzowie jesteśmy często zaskakiwani nagłymi zwrotami akcji, a fabuła się z pewnością nie nudzi. Sceny walki są zadowalające, w szczególności, że biorą w nich udział piękne kobiety :). Chociaż zastanawiam się, jak można mieć poukrywane tyle ostrzy w stroju wieczorowym i jednocześnie móc się normalnie poruszać.



Niestety mamy do czynienia z kolejną serią, która wraz z biegiem czasu i pojawianiem się nowych sezonów psuje swoją opinię. Fabuła staje się coraz bardziej naciągana, jak w każdym filmie akcji główny bohater potrafi pokonać niemal każdego w bezpośrednim starciu, a temat ten jest tak oklepany, że nawet dobre efekty specjalne tego nie przebijają.

Po ostrych słowach krytyki czas na podsumowanie. Serial pomimo swoich niedoskonałości ogląda się bardzo przyjemnie. Dobrze wiemy, że jeśli wciągniemy się w rozterki bohaterów, jesteśmy twórcami w stanie wybaczyć wszelkie braki w końcowych sezonach. Pomiędzy głównym wątkiem zemsty na agencji pojawiają się epizody miłosne, co z pewnością przyciągnie żeńską część widowni, a dla prawdziwych twardzieli pozostają momenty pełne walki wręcz i strzelania. Osobiście na pięć gwiazdek dałbym trzy i pół.

Milego oglądania!

# Żebyś sobie tą wieżą oka nie wybił

## Xenon

PRZYPADKOWY ARTYKUŁ NA TEMAT ASYMILOWANIA ZABAWEK DOMNIE-MANEGO NISKIEGO POZIOMU INTELIGENCJI PRZECIĘTNEGO DZIECKA.

**W**ielu z was powinno gdzieś mimochodem usłyszeć jakieś historie odnośnie funkcyjnych nieporozumień z zabawkami, w jakie wdają się dzieciaki z kraju nowoczesnych konkwistadorów Bliskiego Wschodu.

Śmieszne bądź mniej.

Wśród producentów zabawek na świecie wielu ma wyrobione przekonanie, iż dziecko wychowowane w którymkolwiek kraju, którego kultura związana jest z chrześcijaństwem (głową dam, że to nie przypadek; i tak, Kanada też, ale głównie przy stanach graniczących z USA) należy traktować w pierwszej kolejności jako warzywo, produkt, target, a później dopiero jako istotę, której rodziców powinnością jest dopilnować, co by jej pociesze nic się tragicznie złego nie stało, więc można spokojnie tego antybohatera zbrukać czerwienią tu i ówdzie podczas procesu malowania. Należy dostosować takiego podstawowego misia, aby nie odpadały mu oczy, kończyny, nie liniał, nie pochłaniał fal radiowych, Transformery nie powinny mieć żadnych „natrętnie” wystających części, nie powinny mieć zbyt dużo punktów artykulacji (czyt. nie powinny mieć wielu stawów gdziekolwiek), najlepiej, gdyby były po prostu cegłami w kształcie kulki, bez wagi, sprężystości, niezniszczalnymi, niewidzialnymi i bezwonnymi.

Nie wzięło się to znikąd - do korporacji wysyłana jest oczywiście odpowiednia liczba listownych zgłoszeń oraz odbierana odpowiednia ilość telefonów ze skargami rodziców/opiekunów, mniej czy bardziej uznających swoją winę i resztą obarczających, w większości przypadków nikomu niczego niewinną firmę.

„Panie bo tę zabawkę felerną, tutaj dziecko se krzywdę zrobiło, panie takie beznadziejne te zabawki, diabelne małe części popatrz pan widzisz? A brzydkie to, krew mu z pyska kapie, przeca to zabawka dla dziecka!” I temu podobne.

Nie słyszymy, by działało się tak w krajach kultury innej niż jakakolwiek kiedykolwiek w historii schrystianizowana. Z jednej strony - dlaczego chwalić się głupotą (politycy, przypadkowo piję też do was), z drugiej strony - takie rzeczy się po prostu zdarzają. Z trzeciej - dzieciaki są diametralnie inaczej wychowane bądź nie mają zabawek. Wtedy w ich żołądkach znajdziemy żwirek, muchomorka, troszkę większe kamyczki... W końcu normalne dziecko jest ciekawe świata. Normalny dorosły człowiek też. A nie jak ten obmierzły paciulek klnący obok mnie pod nosem na kobietę, która przypadkiem się o niego otarła. Rozumiem jednego, może to wtedy być pierwsze stadium schizofrenii paranoidalnej, ale nie pół tramwaju o 7.30 każdego dnia roboczego (dodatek psychiatryczny sponsorowany przez redaktor-korektor Karez [notka od redaktor-korektor Karez: w zasadzie to psychologiczny.]).

I niby mam być patriotą, godnie nosić barwy swego narodu. Zabawne. Może jeszcze flagę narodową wywieszę za okno.

Ludzie sami sprawiają sobie problemy i odzierają rzeczy z klawości. Poza LEGO - LEGO doesn't give a damn.

Great and Powerful Trivia na koniec artykułu: Czasami wielkie zabawarskie korporacje dają też prawdziwego ciała, tak jak pewna firma od gotujących kótek, która wypuściła nieraz na sklepowe półki wadliwe produkty, pewnie na metalowe części użyte w ich konstrukcji zaszczerkał geigerek z fabryki obok. Hehe, geigerek.

# Prawdziwy superbohater: Tony Stark czy Iron Man?

Artur Kawala

ROBERT DOWNEY JR., POSTAĆ TONY'EGO STARKA I ZBROJA IRON MANA. POŁĄCZENIE, KTÓRE POKOCHAŁY MILIONY (TEŻ: DOLARÓW) DOCZekaŁO SIĘ W SUMIE CZWARTEGO JUŻ TYTUŁU.

**W** „Avengers” (2012) pomiędzy Tonyem Starkiem, a Kapitanem Ameryką miał zaistnieć

**krótki dialog:** — Bez obrazy, ale nie lubię towarzystwa. — Wielki facet w zbroi. Kim jesteś bez niej? — Geniuszem, miliarderem, playboyem, filantropem. W trzeciej odsłonie serii o Iron Manie nadszedł czas, by sprawdzić, czy największy marvelowski narcyz jest również tak konsekwentny, co zuchwały w słowach, które wypowiada.

Po wielkim sukcesie „Mścicieli” wkrótce rozpoczęto kampanie reklamowe i promocje trzeciej części „Iron Mana”. Ze zwiastunów można było wysnuć wniosek, iż twórcy pragną zakończyć tę serię. Wszystko wskazywało na to, iż będzie to wielki upadek Człowieka z Żelaza. Okazało się to jednak tylko połową prawdy, sprytnym zabiegiem promocyjnym, który miał przyciągnąć ludzi do kina. Całość bowiem okazała się mieć trochę inny charakter, ale spodziewany zysk także nadszedł. Ważną zmianą było posadzenie nowego reżysera na stołku. Jon Favreau, który nakręcił dwie pierwsze części, ustąpił miejsca Shane'owi Blackowi. Ta osoba postanowiła odmienić losy miliardera Starka, odbierając mu w kilka minut wszystko, co posiadał. Wystawiła go na ciężki test, który miał sprawdzić, czy dalej posiada iskrę ge-

niuszu i samozaparcia. Historia cofnęła się do pierwszej części z tym wyjątkiem, że teraz nie został zamknięty w więzieniu, a wylądował na odludziu w chatce z kilkuletnim chłopcem. I podobnie jak w pierwszej odsłonie „Iron Mana”, w tej części bohater także przechodzi głęboką przemianę, która zmienia jego priorytety i światopogląd.

W prologu z ust Tony'ego poznajemy część jego historii sprzed lat, kiedy jeszcze piął się na szczyt. Wtedy też natknął

części zostaje rozwinięty. Superbohater nadal wierzy w swoją moc, uważa się za nieprzejednanego geniusza, a kiedy upada, wstaje, otrzepuje się z kurzu i brnie dalej. W jednej z pierwszych scen filmie - kiedy wszystko ma jeszcze sielankowy klimat - testuje nową zbroję; niektóre części latają po całym domu, pozostałe w ogóle się nie ruszają, a jeszcze inne próbują go zabić. Wreszcie udaje mu się wskoczyć w nowy pancerz, przyjąć odpowiednią pozę - jak na superbohatera przystało - i wymówić słowa: „I'm the best”. W następnej chwili całość spektakularnie



<https://static.squarespace.com>

się na szalonego naukowca, który zaproponował mu współpracę nad pewnym projektem. Zadufany w sobie i swej indywidualności Stark oczywiście odmówił. Ów szalenciec okazuje się teraz jednym z dwóch głównych antagonistów, u boku Mandaryna, który terroryzuje i organizuje ataki na USA. Odpowiedzią Stanów Zjednoczonych jest wprowadzenie do działania War Machine (który zyskał później bardziej „pokojową” i akcentowaną śmiesznym amerykańskim patosem nazwę Iron Patriot, nie lubi jej nawet sam pułkownik James Rhodes, który zbroję tę zakłada). Ostatnio Iron Man u boku innych superbohaterów ratował Ziemię przed przybyszami z kosmosu, teraz stawia sobie za cel zgładzenie wroga USA, ale szybko założenie to zdobywa wymiar osobistej zemsty, kiedy jego dom zostaje zniszczony.

Portret psychologiczny postaci granej przez Roberta Downey'a Jr. w trzeciej

się rozpada. Tą niewinną sceną już na początku zaznaczono, że Tony Stark z poprzednich części nie odszedł, ba: nadal czeka z efekciarskimi momentami jednocześnie syjąc sarkastycznym dowcipem z rękawa. Jego wybujane ego możemy jeszcze podziwiać, kiedy kupuje swej partnerce gigantycznego królika jako prezent. Downey Jr. natomiast po raz kolejny udowadnia, że to jego postać i tylko on potrafi tchnąć w tę zbroję tyle fantazji. Poważne momenty, minuty żywej akcji i pełne humoru dialogi przeplatają się co chwila, a w całym tym zamieszaniu można dostrzec jakąś metodę, zamierzenie reżysera.

„Iron Man 3” nie jest najlepszą odsłoną. Trochę oczekiwań wobec tego tytułu nie zostało spełnionych, mimo plusów w historii występują zgrzyty, a ostatnie minuty mogłyby się potoczyć bardziej dramatycznie. Osobiście nie miałbym nic przeciwko zamknięciu historii o Iron Manie w trylogii, w końcu dokładanie kolejnych cegiełek do tej serii jest bardzo ryzykowne – łatwo można się potknąć i upaść.



<http://www.komiksynekranie.com/>

# Expresso Kroniki Nośnika CD

## Xenon

THE CURE – SEVENTEEN SECONDS (1980)

**D**o rzeczy. Kawałki powstały jeszcze podczas trasy chłopaków wspólnie z Siouxsie and The Banshees, których to wówczas supportowali.

Ciemność widzę, mroki i czysto postpunkowy klimat bezdziedzi – Xenon w krainie czarów, Robert Smith i spółka w krainie uzależnień.

W luźnym porównaniu z pierwszą płytą brzmienie dosyć lakonicznie (cichaczcie – liczy się gest!) keyboardami ubarwia pewien Mateusz, z zawodu fryzjer (sic, Hartley zrezygnował po zakończeniu trasy promującej płytę, niestety nie znalazłem informacji, czy był też autorem ówczesnych fryzur zespołu – oznaczałoby to jego absolutny nieprofesjonalizm), aczkolwiek jest to znak, iż również Smith oswoi instrumenty klawiszowe i włączy je do repertuaru; ironicznie wręcz od trzeciego albumu po omawianym w tym artykule syntezatory będą podstawą – ale do czasu. Koniec spoilerów.

A Reflection – pulsowanie w tle, powtarzany niczym mantra unison motyw gitary i perkusji przerwany tylko raz i krótko, losowe dźwięki w tle, mające tu rolę krzywej, acz wysublimowanej „melodii” wyrzucają starą farelkę „Gustaw” przez okno i ostrzega przed chłodem trwającym przez resztę krążka, w razie posiadania dużej wady wzroku (bądź spiraconej kasety) i niemożliwości dostrzeżenia jednej z najbardziej ekspresyjnych okładek jakie widziałem.

Łagodnie rozpoczyna się Play For Today, rytmem przywodzące trochę poprzednie wydanie The Cure, lecz wzbogacone echem i temu podobną magią. Lekki chorus w brzmieniu gitary nadaje klarowności (w końcu taka natura tego efektu), a sama jej ścieżka jest kwiecista i barwna, choć pozornie nie wywiera wrażenie nadmiernie uproszczonej.

Tempo spada razem z Secrets – bas Gallupa wspólnie z gitarą Smitha zaczyna utwór, by później dołączyć industrialnie wręcz bębniący Tolhurst, zoktawizowany wokół i skryte akordy Hartleya – takiego miodu z uszu nie powinno się pozbywać.

Nieśpiesznie kontynuuje również In Your House – perkusja barwiona keyboardem, cykliczne, lekko groteskowe zejścia razem z tekstem nadają kawałkowi dosyć niepoważny jak na całą płytę charakter.

Three to obraz. Kolaż efektów, nieznanymi dźwięków oraz dysonansów, dzięki którym atmosfera płyty klaruje się jeszcze mocniej. Równie mglisty jest Final Sound, niespokojnie i bezmelodyjnie przechodzący w mój ulubiony kawałek na płycie. A Forest rozrzedza wreszcie mgłę, pokazuje, jaki postęp poczynili muzycy. Nie potrzebuję opisu – użyję jednego słowa. Arcydzieło.

Następny ukochany utwór to M. Przy okazji warto zwrócić uwagę na brzmienie gitar na Sekundach – okropne, wręcz ohydne i nie do przyjęcia, każdy porządny gitarzysta wyśmiewał je jako abominację, ale bez niego płyta byłaby po prostu bez klimatu zimna i degradacji – byłaby niczym.

Inspirowana nowelą Kafki „Nachts” ścieżka At Night, gdzie pokazany jest świat niepewności i samotności, kontruje z poczuciem bezpieczeństwa, po czym delikatnie gaśnie i przechodzi w tytułowe Seventeen Seconds zamykające set – najlepsze epitafium, jakie można było stworzyć dla tego albumu. Pauzy tak samo ważne jak dźwięki, liryczny bas na drodze prawdziwej ewolucji postpunkowego stylu – jednym z jego mistrzów jest Steven Severin, basista The Banshees i ówczesny dobry przyjaciel Roberta.

Po aksamitnym zejściu piosenki w ciszę zawsze zostaje we mnie samotność. To jedna z niewielu płyt, którą można nazwać doświadczeniem czy przygodą. Spójny, dokładnie określony kierunek płyty powoduje fantastyczne doznania.

Czasem zużywam nawet kilka chusteczek higienicznych, by ludzie nie widzieli, że płakałem.

# The Walking Dead

## Artur Kawala

ZOMBIE W NATARCIU.

**C**zterdzieści pięć minut walki o życie, przetrwanie, zachowanie w sobie pierwiastka identyfikującego człowieka – tak można skrócić każdy wybrany odcinek The Walking Dead – serialu o apokalipsie zombie, która nieodwracalnie zmieniła świat.

Takich pozycji było już wiele, poczynając od uznawanej obecnie za klasykę Nocy żywych trupów (1968). Niełatwo jest więc wnieść coś świeżego do kina o podobnej tematyce. Serial Żywe trupy nie próbuje tego dokonać – wręcz operuje sprawdzonymi schematami, równolegle opierając się na komiksowym pierwowzorze. Zawiązanie akcji jest banalnie proste – historię końca świata poznajemy fragmentarycznie, najpierw wraz z jednym z głównych bohaterów budzimy się na łóżku w czymś, co kiedyś było szpitalem, a w przyszłości zamieni się w ruinę. Obecnie jest to budynek pomazany krwią i wyglądający jak po tornadzie. Zza stalowych drzwi zamkniętych łańcuchem i z informacją „Nie otwierać, martwi w środku” dochodzą niepokojące dźwięki. Panuje cisza, oświetlenie ostrzegawczo miga, zapowiadając to, co zastaniemy na zewnątrz.

Wkrótce poznajemy szerszy zarys postapokaliptycznego świata. Okazuje się, że nie tylko nasz bohater przeżył, ocalałych jest więcej. Rick, bo tak ma na imię, odnajduje żonę i syna, którzy wraz z jego przyjacielem połączyli się z innymi w grupkę walczącą o przetrwanie.

Wszystko to wydaje się bazować na szablonowych scenariuszach, z pewnością takie wrażenie jest na miejscu, ale mimo to wyprodukowane dotąd trzy sezony nie nużą tak bardzo, jak to się może wydawać. Twórcy starają się dawkować akcję, by nie przysłoniła ona całej reszty, w wyniku czego daje ona tło moralnym dylematom, depresyjnym chwilom, momentom desperacji i zrezygnowania.

The Walking Dead nie daje tylko pustej rozrywki, stara się również zgłębić istotę człowieka, wyznaczyć tę granicę, po przekroczeniu której zrywamy ze wszystkimi wartościami, w które kiedyś – w czasach dobrobytu – wierzyliśmy i na których budowaliśmy własne zasady. Jaką wartość może mieć dalsze życie, jeżeli każdy dzień polega na zabijaniu? Bohaterowie starają się rozwiązać ten problem szukając bezpiecznej przystani w świecie pełnym martwych osób, które kiedyś kochali i z którymi umarła cała ich przeszłość, zostawiając jedynie po sobie posmak w postaci wspomnień. I to jest tak naprawdę istota tego serialu – nie pokazanie krwawych i obrzydliwych scen, a sposobów na zabicie żywego trupa czy zrealizowanie nieprawdopodobnego planu zbawienia świata – na wyższe cele nie ma czasu i siły. Wszystko, o czym myśli grupka ocalałych, to miejsce, które mogliby nazwać domem, nawet jeśli nie byłoby ono do niego podobne.

Jeżeli można nadać takie określenie serialowi o apokalipsie zombie, to ten jest realistyczny. Oglądając go, widz nie zastanawia się, czy tak by się mogło rzeczywiście stać, bo zwyczajnie nie przychodzi mu to do głowy. Scenariusz jest rzetelny, nie zostawia większych dziur logicznych, ale posiada dramaturgię. Scenografia, z zombie na czele, robi wrażenie, nic nie jest sztuczne – na dowód tego w sieci można znaleźć zdjęcia z planu, które m.in. pokazują wymagającą czasu pracę nad charakterystyką umarłaków.

Zbliża się październik, a wraz z nim pierwszy epizod czwartego sezonu. Zakończenie poprzedniego pozostawiło sporo smaczków, które przyciągną wielu przed małe ekrany, w tym i mnie. Mam nadzieję, że twórcy nie przekroczą granicy, którą sami sobie wyznaczili i w przyszłym miesiącu obejrzeć będzie można nowe odcinki, które utrzymają (lub nawet przebiją) poziom wcześniejszych.